

# MUSIAŁEM PRZESKAKIWAĆ PRZEZ PŁOT

**Czytając różne relacje z okresu Sierpnia '80, znajduję w nich wiele znanych mi twarzy. Postanowiłem więc powrócić pamięcią do tamtych dni i wspomnieć o ludziach, którzy byli uczestnikami znanych wydarzeń. Bolesnym dla mnie jest to, że ci, którzy bezinteresownie ryzykowali wszystko dla sprawy Polski tylko dlatego, że poczuli się do takiego obowiązku wobec Ojczyzny, zostali dziś zapomniani. Nikt nie opowiada ich historii. Dlatego uważam, że jednym z moich obowiązków jest dać świadectwo, jak wtedy było, póki czas nie zaćmi i wszystko zniknie w niepamięci.**

Włączyłem się do Wolnych Związków Zawodowych w drugiej połowie roku 1979. Po strajku w Stoczni Północnej jeden z uczestników tamtego strajku zauważył moją obecność i obdarował mnie posiadaną „bibułą”. Wśród gazetek i ulotek odnalazłem adresy działaczy WZZ i wybrałem się do pani Ani Walentynowicz.

Od początku mojego uczestnictwa w WZZ towarzyszyli mi moi koledzy ze stoczni: Mietek Klamrowski i Andrzej Runowski oraz koledzy z Liceum Ogólnokształcącego nr 5 w Gdańsku Oliwie – Leszek Zborowski i Mirek Walukiewicz. Działał z nami również brat Leszka – Marek Zborowski. Zazwyczaj współpracowało z nami więcej osób; czasami były to kontakty sporadyczne, czasami współpraca z danym człowiekiem trwała dłużej.

Chcę wspomnieć między innymi siostrę Mirka Walukiewicza – Jolantę Walukiewicz, i Jolantę Komandecką, które brały udział w akcji ulotkowej, oraz G. Muszarskiego i Kazimierza Marchewkę ze Stoczni Północnej, a także Jacka Merkela, Grzesia Konkola, i Irenę Dąbrowską z liceum. Mietek z Andrzejem działali przede wszystkim (dopóki pracowali) na terenie stoczni – kolportowali tam bibułę, a po moim zwolnieniu w styczniu 1980 r. podjęli działanie w mojej obronie. Właśnie oni wystąpili z petycją do kierownictwa stoczni, wykazując niesłusność zwolnienia i postulując przywrócenie mnie do pracy. Pod petycją podpisy złożyło 36 pracowników Stoczni Północnej. Dyrekcja na petycję odpowiedziała szykanami: wzywano osoby, które ją podpisywały, groźbami i szantażem zmuszano do wycofania podpisu. Napisałem wówczas list otwarty do pracowników Stoczni Północnej, dziękując wszystkim za ich postawę. Kolportowania tego listu podjęli się również Mietek i Andrzej, za co obaj zostali ukarani – Andrzeja przeniesiono na inny wydział, a następnie wcielono do wojska w kwietniu '80, Mietka zaś zwolniono z pracy.

Z Mirkiem i Leszkiem działaliśmy w liceum. Kolportowaliśmy ulotki na terenie miasta, malowaliśmy hasła antykomunistyczne. Wszyscy braliśmy udział w różnego typu akcjach solidarnościowych – uczestniczyliśmy w sprawach sądowych, w sprawach toczących się przed terenową komisją odwoławczą oraz spotykaliśmy się w różnych miejscach, aby całą tę sprawę ogarnąć modlitwą. Uczestniczyliśmy również w nielegalnych kursach czy wykładach, np. o tematyce historycznej, o prawie pracy, a także o tym, jak zachowywać się w razie aresztowania itp. Działaliśmy nie tylko na terenie Trójmiasta, ale jeździliśmy również do Słupska, gdzie np.

toczył się proces przeciwko Markowi Kozłowskiemu z KOR. Uczestniczyliśmy w tym procesie. Jeździliśmy na akcje ulotkowe do Słupska. Tam rozprowadzaliśmy ulotki w sprawie obrony Marka oraz ulotki wzywające do bojkotu wyborów. W czasie jednej z tych akcji zatrzymany został Mirek Walukiewicz. Obawialiśmy się, że może zostać skazany na grzywnę przez kolegium, a z powodu niemożności zapłacenia grzywny może zostać uwięziony (kolegia stosowały taką możliwość). Wybrałem się więc z zebranymi pieniędzmi, by czuwać w siedzibie kolegium i zapobiec takiej sytuacji. Innym razem jeździłem do Słupska, gdy zatrzymano tam Ludwika Prądyńskiego – pracownika Stoczni Gdańskiej (współpracownika WZZ). Jednak w obu przypadkach kolegium nie odbyło się i obydwaj zostali zwolnieni po 48 godzinach.

Przed wyborami do sejmu, które miały odbyć się w marcu 1980 r., przeprowadziliśmy bardzo zmasowaną akcję ulotkową – najczęściej oblepialiśmy ulotkami stacje miejskiej kolejki, bramy oraz korytarze. Jeden z rysunków zapamiętałem szczególnie: czołg z pięcioma lufami i podpis „olimpiada Moskwa 80”. Była też karykatura Breżniewa z podpisem „Siedź w domu, Breżniew – pójdziemy za Ciebie głosować”. Malowaliśmy także farbą na murach hasło „Chcesz głodować, idź głosować”. Po powrocie z takiej akcji ręce mieliśmy w kolorze farby, jakiej używaliśmy. Rozprowadzaliśmy też ulotki w formacie A4 wyjaśniające, dlaczego powinniśmy zbojkotować wybory. Najczęściej robiliśmy to przy kościołach po Mszach św.

Reakcja ludzi była różna – od łez, wzruszenia i dziękowania, przez obojętność i strach aż do nienawiści i wyzwisk (tych ostatnich było najmniej). Większość ludzi, z którymi wykonywałem te akcje, poza wielką odwagą i sercem cechowała się olbrzymią rozważą i pomysłowością. W przeprowadzonych w tym czasie ponad 20 akcjach tylko raz nie udało się uniknąć zatrzymania przez SB (wspomniany wyżej fakt zatrzymania Mirka Walukiewicza w Słupsku). Choć w czasie akcji unikaliśmy zatrzymań i aresztowań, nie znaczy to, że nie zdarzały się one w innym czasie, zdarzały się, i to dość często.

Aresztowania na 48 godzin były dokuczliwe, miło jednak wspominam okres opuszczania aresztu, szczególnie gdy byłem aresztowany na ulicy Pławnej. Pierwsze swe kroki po wyjściu kierowałem na ul. Kozią, równoległą do Pławnej, gdzie mieszkał Andrzej Butkiewicz z żoną. Zawsze bardzo serdecznie mnie przyjmowali, częstowali smakołykami i byli bardzo mili – chętnie bym teraz dał się zamknąć, by móc odwiedzić Butkiewiczów. Andrzej był współpracownikiem WZZ, również zwolniony z pracy za działalność, świetnie w czasie Sierpnia zorganizował druk materiałów w stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni (gdzie przewodniczył strajkowi Andrzej Kołodziej). Przejęto tam drukarnię stoczniową, w której drukowano postulaty i inne komunikaty ze strajku. Drukarnię w Stoczni Gdańskiej przejęto dużo później. Mówiąc o Andrzeju Butkiewiczu, muszę wspomnieć, że gdy „Solidarność” otrzymała siedzibę w hotelu „Morskim”, to on zorganizował i nadzorował pracę działającej tam drukarni. Również to robił świetnie, w czym pomagała mu Ania Sosnowska, która współpracowała już z drukarnią w stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni.

Wspominając o miłych akcentach po opuszczeniu aresztów, muszę również napisać o bardzo sympatycznej reakcji mojej klasy. Kiedy wracając z aresztu jako powód nieobecności podawałem to, że dopiero zostałem wypuszczony z aresztu (wszyscy wiedzieli o mojej działalności), każdy sięgał do swej reklamówki i byłem wręcz zasypywany kanapkami i wyrazami uznania, zdarzało się to parokrotnie. Było to bardzo przyjemne dlatego, że zwykle w czasie aresztowań nie przyjmowałem posiłków.

Bardzo utrudniała nam życie inwigilacja prowadzona przez Służbę Bezpieczeństwa, czasami natarczywa, jak to się mówi, aż „do bólu”, trwała prawie bezustannie. Umawiając się z kimś, trzeba było wychodzić z domu o godzinę wcześniej, by mieć czas na zgubienie „ogona”. Nie chodziło tylko o spotkania z ludźmi z WZZ, ale także z kimkolwiek. Każdy nasz potencjalny znajomy brany był na celownik SB. Nawet gdy się raz zgubiło „ogon”, to podczas powrotu do domu lub do kogoś z WZZ miało się go ponownie, bo mieszkania były pod obserwacją i z podsłuchem. Gdy było się u Gwiazdów czy u pani Ani, to „rozmawiało się długopisami”, na kartkach. Elementem budującym było zaufanie do ludzi, z którymi się pracowało, człowiek był przekonany, że w razie potrzeby poświęca swoje życie, by bronić innych. Może brzmi to patetycznie, ale tak się czuło w okresie przedsierpniowym.

Sprawy niby z pozoru drobne, takie jak czyjaś obecność w czasie rozprawy w sądzie czy Terenowej Komisji Odwoławczej, budowały to poczucie solidarności między nami. Spraw w TKO było niemało, wymienię chociaż parę nazwisk. Zwolnieni z pracy odwoływali się zazwyczaj od niesłusznych decyzji w TKO. Między innymi byli to Mietek Klamrowski, Andrzej Butkiewicz, Andrzej Kołodziej, Tomek Wojdakowski, Sylwester Niezgoda czy Lech Wałęsa i inni. Utrudniano nam wykazywanie naszej wspólnej solidarności przez wyznaczanie mniejszych sałek, aresztowania po sprawach czy wzmoczoną obserwację. Duże znaczenie dla naszego poczucia bezpieczeństwa miały podawane przez Radio Wolna Europa informacje o osobach aresztowanych czy też w inny sposób represjonowanych. Był to jakby glejt bezpieczeństwa. Dawaliśmy w ten sposób znać SB, „że wiemy, iż więzicie naszych kolegów, więc dobrze by było, żeby wyszli o własnych siłach”.

W kwietniu Andrzej Runowski w ramach prześladowań został powołany do wojska. Również tam dostarczaliśmy mu ulotki, które rozprowadzał wśród żołnierzy. Andrzej odmówił przysięgi na wierność Związkowi Radzieckiemu i z tego powodu był represjonowany, podjął więc głodówkę protestacyjną w czasie Sierpnia, a we wrześniu został zwolniony do cywila.

Po wyrzuceniu mnie z pracy w styczniu 1980 roku pojawił się problem z mieszkaniem. Dotychczas zamieszkiwałem na kwaterze stoczniowej, której mnie stocznia pozbawiła automatycznie po zwolnieniu, jakiś więc czas musiałem mieszkać u znajomych i przyjaciół. Sprawą zajęła się pani Ania Walentynowicz i dość szybko znalazła mi tani pokój u starszej pani na ulicy Matki Polki.

Zwalniając dyscyplinarnie i wyrzucając z terenu stoczni, pozbawiono mnie możliwości rozliczania się z zakładem pracy. Miałem wypożyczone z narzędziowni narzędzia potrzebne do wykonywania pracy. Musiałem przeskakiwać przez płot, by móc je zdać, gdyż przez bramę nie chciały mnie wpuścić straże zakładowe. Długo nie mieszkałem sam, bo wkrótce pojawił się w mieszkaniu Mietek Klamrowski będący w takiej samej sytuacji (również zwolniony ze stoczni). Razem mieszkaliśmy, razem działaliśmy i razem też poszukiwaliśmy pracy. Nasze sprawy o przywrócenie do pracy toczyły się w TKO, później w Sądzie Pracy. Chociaż chodziliśmy do zakładów, które ogłaszały w gazetach i biurze pracy potrzeby zatrudnienia, długo nie przynosiło to żadnego skutku. Gdy byliśmy w biurze pracy 11 sierpnia, trafiliśmy na kierownika z Gdańskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych, który potrzebował spawaczy. Po rozmowie z nim udało się nam dostać tę pracę.

Braliśmy bezpośredni udział w obchodach rocznic i w ich przygotowaniach. Obchodziliśmy rocznicę masakry robotników w Grudniu 1970 r. oraz pomagaliśmy Ruchowi Młodej

Polski, wspólnie uczestniczyliśmy w obchodach święta Niepodległości 11 listopada i w obchodzeniu rocznicy Konstytucji 3 Maja.

W roku 1980, po tym jak obchodzono rocznicę Konstytucji 3 Maja, SB aresztowała i skazała na 3 miesiące aresztu przemawiających na tej manifestacji Tadeusza Szczudłowskiego i Darka Kobzdeja. W intencji ich uwolnienia zostały zorganizowane przez RMP modlitwy w kościele Mariackim w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Uczestniczyliśmy w tych modlitwach, kolportowaliśmy informacje o nich, jak też ulotki w obronie Szczudłowskiego i Kobzdeja. Po usłyszeniu informacji z RWE, że w Podkowie Leśnej rozpoczęła się głódówka w obronie więźniów politycznych, udałem się do Gwiazdów, by podzielić się moim zamiarem udania się tam. Gwiazdom spodobał się mój pomysł i jeszcze tego dnia, po pożyczeniu śpiwora od Mietka, wyruszyłem do Podkowy Leśnej, gdzie trwałem z innymi współuczestnikami głódówki aż do jej zakończenia. Była w tym potrzeba solidarności z ich cierpieniem oraz okazania, że będziemy bronić każdego wszystkimi możliwymi środkami. Poznałem w Podkowie dużo nowych ludzi, nawiązałem kontakty ze znanymi działaczami opozycyjnymi z różnych części Polski i nie tylko Polski.

Najwięcej poznanych ludzi było z Warszawy. Po jakimś czasie doszedł w naszej grupie jeszcze jeden obowiązek, jeżdżenie do Warszawy po „bibułę”. Najczęściej jeździli Mirek z Leszkiem, przywozili ciężkie torby pełne „bibuły”, a serce cieszyło się z takiego mnóstwa dobra, które trzeba rozdać. W maju, po wyprowadzeniu się Andrzeja Bulca z Gdańska wraz z rodziną do Warszawy, poinformowano mnie, że zostałem włączony do składu Komitetu Założycielskiego WZZ. Myślę, że aktywność całej naszej grupy wpłynęła na tę decyzję, gdyż byli pomiędzy współpracownikami starsi i bardziej godni. Przyjąłem to jako wyróżnienie dla naszej grupy. Jestem przekonany, że oprócz aktywnej chęci służenia Polsce istniała wśród nas troska o innych, odpowiedzialność za nich połączona z gotowością ofiary.

Siódmego sierpnia została zwolniona z pracy pani Ania Walentynowicz, myślę, że ten czyn był „przepełnieniem czary”. Wszyscy byli zbulwersowani, jednomyślnie podjęliśmy decyzję o zdecydowanej jej obronie. Zredagowaliśmy pismo przedstawiające represje stosowane wobec pani Ani i nawołujące do jej obrony, adresowane do stoczniovców. Z relacji Bogdana Borusewicz wiem, że drukował tę ulotkę Piotrek Kapczyński i Bogdan Borusewicz. On też zadecydował o terminie rozpoczęcia akcji.

Na polecenie Bogdana jeździłem do Gdyni właśnie po te ulotki, pod wskazany przez niego adres, do nieznanego mi człowieka, którego nazwiska nie pamiętam. Musiałem wtedy całą noc czekać na schodach bloku, w którym mieszkał, przyszedł około 4.00 nad ranem. Z pełną torbą ulotek wróciłem do siebie na ulicę Matki Polki.

Oprócz ulotek w sprawie pani Ani miałem w domu przywiezione z Warszawy duże ilości „Robotnika” z kalendarium przebiegających przez Polskę lipcowych strajków, wydrukowaną instrukcją, jak strajkować, oraz trochę książek wydanych przez niezależne wydawnictwa. Gdyby w tamtym czasie SB zrobiła najazd na nasze mieszkanie, to „nieźle by się obłowili”.

Bogdan Felski, Ludwik Prądzyński i Jurek Borowczak przychodzili nieraz do nas na Matki Polki, choć poznałem ich chyba nie więcej niż 3 miesiące przed strajkiem. Przychodził do mnie również ze Stoczni Gdańskiej inż. Koziątek i też pobierał niezależną literaturę.

Nasza grupa otrzymała zadanie rozprowadzenia ulotek 14 sierpnia w kolejkach jadących od strony Oliwy. Ulotki przygotowywaliśmy wcześniej, składając po trzy w komplecie – ulotka w sprawie pani Ani, lipcowy numer korowskiego „Robotnika” oraz ulotkę, jak strajkować.



Stocznie zaczynały pracę o godzinie 6.00, ja i Mietek Klamrowski rozpoczynaliśmy pracę o 7.00 w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych. Mirek Walukiewicz pracował w „Bimecie” również na siódmą, Leszek Zborowski wtedy nie pracował (Andrzej Runowski był w wojsku), tak więc podjęliśmy akcję od wczesnego rana. Wsiadaliśmy na Przymorzu, każdy do innego wagonu, szliśmy przez parę wagonów, rozdając ulotki, na trzeciej stacji wysiadaliśmy. Wracaliśmy kolejką w drugą stronę i tak powtarzaliśmy kilka razy aż do 6.00, następnie każdy udawał się do swoich zajęć.

Niecierpliwie wyczekiwaliśmy końca pracy, by udać się do Stoczni Gdańskiej, chcieliśmy wiedzieć, co tam się dzieje. Jadąc do stoczni, słyszeliśmy, jak ludzie szeptali, że stocznia stoi. Jechaliśmy w trójkę – Mirek Walukiewicz, Mietek Klamrowski i ja, Leszek Zborowski był już w stoczni. Straże robotnicze nie chciały nas wpuścić na teren stoczni, dopiero gdy pokazałem ulotkę wzywającą do obrony pani Ani podpisaną moim nazwiskiem i wylegitymowałem się dowodem osobistym, zostaliśmy uznani za swoich i wtedy nas wpuszczono. Po odnalezieniu pani Ani usłyszeliśmy jej relację, jak ją przywieziono do stoczni i co się dzieje w stoczni obecnie. Od innych dowiedzieliśmy się, jak zaczął się strajk. Znaleźliśmy również Leszka Zborowskiego, który wraz z Kaziem Żabczyńskim i Sylwkiem Niezgodą uczyli pracowników stoczni, jak produkuje się ulotki walcem na matrycy białkowej. Włączyliśmy się w pracę, a rano prosto ze stoczni pojechaliśmy z Mietkiem do GPRI – tam od rana ludzie nie przystąpili do pracy. Trochę ze strachem i nieumiejętnie pracownicy prowadzili rozmowy z dyrekcją.



Postanowiłem włączyć się w te rozmowy i wyartykułować ich postulaty. Spodobało się to ludziom i mimo że pracowałem tu od trzech dni, oraz że miałem dopiero 25 lat, wybrano mnie na przewodniczącego Komisji Strajkowej. Mietek został moją prawą ręką. Później, w trakcie strajku, poznałem jaki to ciężar, dźwigać odpowiedzialność za tylu ludzi. Ciągłe istniała groźba siłowego rozwiązania i bardzo wyraźnie zdawaliśmy sobie z tego sprawę. W początkowej fazie nie podjęliśmy strajku okupacyjnego i strajkowaliśmy tylko w czasie godzin pracy, dopiero od poniedziałku podjęliśmy strajk okupacyjny. Dlatego też po ośmiu godzinach, a w sobotę po sześciu, mogłem jechać prosto do stoczni. Byliśmy tam w piątek, sobotę i niedzielę. W sobotę pojawiłem się w stoczni, gdy Wałęsa ogłaszał koniec strajku. Słyszałem krzyki o zdradzie Wałęsy (bo strajk ogarnął całe Trójmiasto i wszyscy przyłączali się do stoczni, w niej widząc największą siłę, tu przecież pracowało najwięcej ludzi). Alinka Pieńkowska prosiła nas, by udać się „na bramy” i tłumaczyć ludziom, o co chodzi, by wracali do stoczni, że to jeszcze nie koniec. Robiliśmy, co było możliwe, by przekonać ludzi, aby pozostali. Po południu toczyły się dyskusje o kształcie postulatów z delegatami strajkujących zakładów. Brałem w nich udział jako delegat GPRI.

Późnym wieczorem zdecydowano, że trzeba zorganizować odprawienie Mszy świętej w niedzielę. Ktoś zaproponował, bym zajął się tym razem z panią Anią Walentynowicz, delegatem z rafinerii (chyba był jeszcze jeden delegat z jakiegoś zakładu), towarzyszył nam również Tadeusz Szczudłowski (to on był autorem pomysłu i sam dopilnował, by zrobić i postawić krzyż drewniany ku pamięci pomordowanych w roku 1970). Udaliśmy się najpierw do księdza [Henryka] Jankowskiego – zgodził się odprawić Mszę św., jeżeli otrzyma zgodę władz miasta. Udaliśmy się wtedy do pierwszego sekretarza w Gdańsku, pana [Tadeusza] Fiszbacha, przyjął nas i poinformował, że decyzja nie jest zależna od niego, ale kompetentny w tej sprawie jest wojewoda [Jerzy] Kołodziejski. Pojechaliśmy więc do niego – przyjął nas i powiedział, że wyrazi zgodę, tylko jest mu niezręcznie, bo pod naszym naciskiem ustępuje, więc wyrazi zgodę, jeżeli wystąpi o to biskup [Lech] Kaczmarek. Ruszyliśmy więc do Oliwy, biskup nas nie przyjął, było już chyba po północy. Zszedł do nas jakiś ksiądz, wysłuchał nas, poszedł porozmawiać z księdzem biskupem, zszedł znowu i poinformował – ksiądz biskup powiedział, że to załatwi. I tak też się stało.

Po powrocie do stoczni dowiedzieliśmy się, że powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i zostało wybrane prezydium MKS. Moi koledzy, również Sylwek i Kaziu, mieli pretensje do Gwiazdów i Wałęsy, że nie zostałem członkiem prezydium, sam oczywiście też czułem jakiś żal, czułem jakby spadek zaufania do mojej osoby.

Po jednej z akcji ulotkowych, na której byłem z Sylwestrem Niezgodą (jeszcze przed Sierpniem) w Lęborku, jakiś człowiek przyczepił się do nas w czasie rozrzucania ulotek w górę. Powiedziałem mu dość stanowczo, żeby spieprzał, i on się ulotnił. Dowiedziałem się później od Andrzeja Gwiazdy, że Sylwek opowiedział to Wałęsie, a ten stwierdził, że jestem agentem i żeby mnie odsunąć. Gwiazda zaprotestował i opowiedział mi o wszystkim.

Wracając do stoczni – Międzyzakładowy Komitet Założycielski [MKZ] podjął uchwałę, która stwierdzała: „MKZ reprezentuje wszystkie zakłady w nim zrzeszone i tylko prezydium MKZ jest upoważnione do rozmów z rządem”. W tym czasie dowiedziałem się, że jednym z postulatów Stoczni Północnej było przywrócenie Mietka Klamrowskiego i mnie do pracy w stoczni i zrehabilitowanie nas. Uważałem, że jako przewodniczący powinienem pozostać

w GPRI, bo zdradą byłoby opuścić ludzi, którzy mi zaufali. Od poniedziałku w GPRI rozpoczęliśmy strajk okupacyjny.

W początkowym okresie strajku większość czasu przebywałem w Stoczni Gdańskiej. Podczas mojej nieobecności dyrektor wręczył członkom Komitetu Strajkowego drobne prezenty (portfele i długopisy). Pani sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej rozpoczęła agitację w celu złamania strajku. Poinformował mnie o tym Leszek Zborowski, który objeżdżał strajkujące zakłady i trafił też do GPRI. Powiedział mi, że coś się złego dzieje w moim zakładzie. Wróciłem, jak najszybciej mogłem, wysłuchałem ludzi strajkujących, zrobiłem awanturę w Komitecie Strajkowym (Mietek o prezentach nic nie wiedział), kazałem pani sekretarz opuścić zakład, no i na jakiś czas zapanował spokój. Ja przestałem jeździć do stoczni, wysłałem tam innego delegata. Oczywiście miał problemy z otrzymaniem drukowanych tam ulotek, nie miał takiego dostępu do informacji, więc proszono mnie, bym ponownie jeździł do stoczni.

Pamiętam także, jak podejmowano próby wyłamań z MKS. Ludzie z Komitetu Strajkowego dowiedzieli się od dyrektora, że do Gdańska ma przybyć minister budownictwa, a że oni należą do tej branży, to chcą z nim rozmawiać. Na nic były moje próby odrzucenia tego wniosku, tłumaczyłem jak mogłem – że przecież wyraziliśmy zgodę, że tylko MKS ma prawo rozmawiać z komisjami rządowymi. Wszyscy uparli się, żeby zobaczyć ministra. Próbowałem ostatniej szansy, zrobiłem zebranie załogi, by przegłosować tę decyzję. Osiągnąłem to, że postanowiono, iż ktoś z Komitetu Strajkowego, przedstawiciel dyrekcji i ja pojedziemy do MKS. Przyjechaliśmy do stoczni i natknęliśmy się na Wałęsę – przedstawiłem mu sprawę, że przedstawiciele Komitetu Strajkowego GPRI chcą jechać na spotkanie z ministrem, a Wałęsa odpowiada – to jedźcie. Zatkało mnie. Po chwili mówię – przecież to rozłam, postanowiliście, że tylko MKS ma prawo reprezentować wszystkie zakłady w rozmowach z rządem. Odpowiedź była równie krótka – to nie jedźcie. Po powrocie i zrelacjonowaniu przeze mnie przebiegu rozmowy z Wałęsą załoga doszła do wniosku, że pierwsza odpowiedź się liczy i podjęła decyzję – mamy jechać. Myślę, że zmęczenie już wtedy dawało o sobie znać.

Obecność mojej osoby w tych rozmowach była konieczna, był jeszcze przedstawiciel dyrekcji (który wiedział, gdzie i kiedy mamy się spotkać) oraz dwoje ludzi z Komisji Strajkowej. Gdy dotarliśmy na miejsce, było tam kilku innych przedstawicieli zakładów, weszliśmy i usiedliśmy za stołem. Czekaliśmy pół godziny, atmosfera zaczęła się robić nerwowa, wtedy pojawił się jakiś człowiek, mówiąc, że może zaczniemy formować postulaty. Zaczął podawać jakieś bzdury w komunistycznym żargonie – jeżeli chcemy jakąś podwyżkę, to możliwe, że ją dostaniemy, ale za to musimy zwiększyć wydajność. Wstałem i powiedziałem, że takie postulaty są w MKS i od ich zaakceptowania będzie zależeć, czy przerwiemy strajk, a tu możemy rozmawiać o konkretnych dotyczących branży budowlanej. Ten człowiek odpowiedział, że nie uznają MKS i że chcą z nami rozmawiać o całości. Powiedziałem, że chcą zrobić z nas idiotów i próbują rozbić MKS, wstałem do wyjścia. Muszę przyznać, że zarówno członkowie Komitetu Strajkowego, jak i przedstawiciele dyrekcji, wszyscy wstali i wyszliśmy, za nami wyszła połowa zebranych. Nie było więcej prób podejmowania rozmów z przedstawicielami rządu w moim zakładzie.

Chcę opisać jeszcze jedno wydarzenie w GPRI, było to już w końcowej fazie strajku. Siedziałem z Mietkiem Klamrowskim na dyżurce, gdy zadzwonił telefon. Jakaś kobieta, gdy upewniła się, że ja jestem przy telefonie, bardzo dramatycznie i bardzo obrazowo zaczęła relacjonować przebieg wydarzeń w Stoczni Gdańskiej, że wojsko weszło do stoczni, czołgami

wyłamało bramy, żołnierze strzelają, krew się leje. Byłem zszokowany i przerażony. Scenariusz ten był możliwy i bardzo się go obawiałem. Odezwiała się moja odpowiedzialność za ludzi, którymi przewodzę, chciałem zwołać załogę. Zastanawiałem się, czy ich nie zwolnić, podzieliłem się tym z Mietkiem, poradził mi, bym zadzwonił do stoczni i upewnił się, co tam się dzieje. I zadzwoniłem. Do dziś dziękuję za tę radę.

Każdy z tych dni miał swoją historię, część tej historii umknęła dziś z pamięci, o niektórych wydarzeniach nie chcę wspominać. Byłem w stoczni w dniu podpisania porozumienia, ale nie fetowaliśmy zwycięstwa, nie cieszyła nas zmiana Wolnych Związków Zawodowych w Samorządny Niezależny Związek Zawodowy, później przyszło uznanie przez „Solidarność” przewodniej roli partii, ale to już inna historia.

Po zakończeniu strajków Mietek został przywrócony do pracy w Stoczni Północnej. Bogdan Borsewicz nalegał na mnie, bym też wrócił, uległem i zgodziłem się wrócić, jak tylko doprowadzą do wyborów w GPRI. Gdy tylko wybory skończyły się, zwolniłem się z GPRI, niestety do stoczni nie chciano mnie przyjąć i sprawa toczyła się chyba ze trzy miesiące. Pomimo moich nacisków na Wałęsę nie można było załatwić tej sprawy, dopiero osobista wizyta Bogdana Borsewicza w stoczni w czasie zebrania „Solidarność” i jego nacisk na Komisję Zakładową pozwolił mi wrócić do stoczni. Było to tuż przed wyborami do władz „Solidarność” w stoczni. Kandydowałem na przewodniczącego związku, nie zostałem jednak wybrany.

Po podpisaniu porozumienia „Solidarność” otrzymała siedzibę w hotelu „Morskim”. Stosunki pomiędzy byłymi współpracownikami WZZ popsuley się – ludzie, którzy dostali się do władz „Solidarność”, wręcz unikali spotkań z pozostałymi członkami WZZ. By zaistniałą sytuację poprawić, doprowadziliśmy do spotkania WZZ na ulicy Matki Polki – niestety, do poprawy nie doszło, a skończyło się wręcz na zaognieniu sytuacji. Wtedy dla mnie to był już koniec idei WZZ. I taka sytuacja trwa do dziś.

**Jan Karandziej**, ur. 15 V 1955 r., działacz Wolnych Związków Zawodowych; od maja 1980 roku członek komitetu założycielskiego WZZ; brał udział w głódówce w Podkowie Leśnej w maju 1980 r., której uczestnicy domagali się uwolnienia Mirosława Chojeckiego, Dariusza Kobzdeja i innych więźniów politycznych; sygnatariusz ulotki wzywającej do strajku w obronie Anny Walentynowicz w sierpniu 1980 r.; za swoją działalność wyrzucony z pracy w Stoczni Północnej; w czasie strajku przewodniczący komitetu strajkowego w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich; internowany w grudniu 1981 r., osadzony w Strzebielinku; na emigracji przebywał między innymi w Kalifornii Północnej, gdzie był założycielem polskiej biblioteki, współredagował Biuletyn Polityczny „Wiadomości”; do kraju powrócił w grudniu 1988 r.; obecnie mieszka w Kudowie Zdroju.